



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.



KW/c

O W C E I.

Z pomiędzy zwierząt domowych najdawniej, jak utrzymują naturaliści, przyswojone były psy i owce. W zamierzchłej starożytności, nim jeszcze ludzie zaczęli porządnie rolę uprawiać, już koczujące pasterskie

plemiona pędziły trzody z miejsca na miejsce, a trzody te głównie składać się musiały z owiec. Poczciwie te zwierzęta dostarczały im nabiału, mięsa, a zarazem skór i wełny na odzienią. W najdawniejszych mitologicznych podaniach barany odgrywają ważną rolę. Bożek libijski Ammon, który miał wspaniałą świątynią w wielkiej oazie, wyobrażony był z baraniami rogami. Sławny był także w mitologii greckiej baran o złotem runie, który uratował dwoje dzieci kró-

la tebańskiego, Fryksosa i Hellę, przed straszną zemstą macochy i przenosił ją na grzbiecie przez wąską cieśninę, oddzielającą Europę od Azji; Hella utonęła w tej przeprawie, a cieśnina otrzymała od jej imienia nazwę Hellespontu. Fryksos przybył szczęśliwie do Azji Mniejszej, do krainy Kolchidą zwaną i na własne żądanie cudownego barana, ofiarował go bogom, a runo złote zawiesił w gaju poświęconym Marsowi, bożkowi wojny. Później runo to zdobyte zostało przez bohatera Jazona, które wybrał się po nie na okręcie Argo, ztąd on i jego towarzysze przewani byli Argonautami.

Dzikie owce znajdujące się w Azji, Afryce i Ameryce, a nawet na niektórych wyspach morza Śródziemnego, zawsze w okolicach górzystych. Co do pochodzenia naszych owiec domowych, naturaliści nie są w zgodzie; jedni wyprowadzają je od azyatyckich baranów skalnych, zwanych argali, inni znów od europejskich dzikich muflonów, żyjących i dziś dość licznie w Sardynii i Korsyce. Oba te gatunki znacznie się różnią od domowej owieczki i powierzchownością i usposobieniem. Zwierzęta te są śmiałe, żywe i zręczne, podczas gdy owca domowa jest nadzwyczaj powolna, spokojna i tchórzliwa. Prawie wszystkie zwierzęta domowe w niewoli tracą właściwą żywość i śmiałość, stają się piękniejsze, delikatniejsze, ale i niedołężne zarazem, a owce daleko więcej od innych uległy tej przemianie. Wiadomo, jaka jest wielka różnorodność ras pomiędzy owcami, co także jest skutkiem umiejętnej hodowli. Najwięcej są cenione owce dające piękną wełnę, jak hiszpańskie merynosy w Europie, a w Azji owce tybetańskie, z których wyrabiają przepyszne szale, kaszmirami zwane.

PRZYJACIELE.

(Bajka Adama Mickiewicza).

Nie masz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie; Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powieście. Tam żył Leszek, kum Mieszka i kum Leszka Mieszek,

Z tych, co to: gdzie ty, tam ja, co moje, to twoje. Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek, Ziarno dzielili na dwoje; Słowem, tacy przyjaciele, Jakich i dawniej liczone nie wiele, Rzekłbyś dwój-duch w jednym ciecie

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swe czułe mowy
Do kukań zuzul i krakań gawronich:
Alic ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb, nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!”
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmrużyć oczy,
Zblednąć, paść na twarz, a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup leży—
Wuosi, że to nieboszczyk i już nieświeży.
Więc mruknąwszy ze wzgardą, odwraca się w knieję,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.
Dopieroż Mieszek odżył. „Było z tobą krucho!”
Woła kum „szczęście, Mieszku, że cię nie zadra-
[pa!

Ale co on tak długo tam nad tobą sapał,
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?”
„Powiedział mi „rzekł Mieszek“ przysłowie nie-
[dźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.“

POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

XV.

Budownictwo w Polsce.

Powiadają o królu Kazimierzu, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Ale i w czasach późniejszych, po Kazimierzu, najwięcej budowano u nas z drzewa, tak skromniejsze domy i dwory, jak pałace, zamki, a nawet i kościoły. W większych tylko miastach stawiano gmachy z kamienia i cegły, po wsiach nie znano ich prawie, można by nawet sądzić, że panowało w Polsce pewne uprzedzenie przeciw domom murowanym. Przechowało się dawne podanie o szla-

ehcieu litewskim, który potrzebując dłuższy czas spędzić we Włoszech dla spraw majątkowych, obawiał się tamtejszych domów murowanych i zabrał z sobą cieślę, aby mu tam drewniany dwór wystawił. Pochodziło to zapewne z przywiązania do dawnego obyczaju, gdyż budowanie z drzewa w lesistym naszym kraju musiało być w najodleglejszych czasach używane. Cieśle stawiali świątynie pogańskie, w dawnych pieśniach wspomniane są często dwory modrzewiowe, kościoły drewniane utrzymywały się długo obok murowanych, a dziś po wsiach często się z nimi spotykamy. Znawcy odszukują w kraju naszym ślady odrębnego budownictwa z drzewa, które się odznaczało bogactwem ozdób wyrzynanych. Kwitło też budownictwo tego rodzaju i w innych krajach północnych, zwłaszcza w Norwegii.

Po wprowadzeniu wiary chrześcijańskiej do Polski, szukano wzorów na okazalsze świątynie w innych krajach chrześcijańskich i wszystkie niemal style, jakie w tych czasach używane były w Europie zachodniej, przeszły także i do nas. Czytaliście niedawno w Piśmie naszym opowiadanie historyczne o wielkim wojewodzie Duninie. Nazwisko jego upamiętniło się w budownictwie polskim, gdyż, jak wam wiadomo, fundował on w całym kraju liczne kościoły. Było to na początku XII wieku, gdy już styl romański chylił się do upadku, przed nastaniem stylu ostrołukowego, który go wkrótce miał zastąpić. Te późne kształty architektury romańskiej wprowadził Dunin do Polski i wszystkie kościoły według tych wzorów budowane, mające pewne cechy wspólne, kronikarze przewalali duninowskimi. Świątynie te są murowane z granitu lub piaskowca, ociosanego w kształcie sześciątów czyli kostek, cienką warstwą wapna spajanych. Pięknym wzorem takiego budownictwa jest kościół katedralny w Kościelcu w Wielkopolsce, z pierwszej połowy XIII wieku pochodzący, zaliczany do duninowskich, chociaż nie był przez wielkiego wojewodę fundowany, lecz przez biskupa Wiesława. Podobne kościoły znajdują się także w innych miastach wielkopolskich, w Kruszycy, Inowrocławiu, w Strzelnie.

Ze wszystkich zabytków architektury romańskiej w Polsce najpiękniejszą, według zdania znawców, jest katedra plocka, zbudowana w kształcie krzyża, z kulistą kopułą po środku, z dwiema wieżami. Starożytna ta świątynia pochodzi z XII wieku. Niemniej cennym zabytkiem z tegoż samego okresu jest kościół w Tumie pod Łęczycą, i kościół w Czerwińsku, chociaż ten ostatni późniejszymi przeróbkami znacznie został zmieniony. Tak więc, jak widzimy, styl romański ukazał się u nas później daleko, aniżeli w innych krajach, w czasie, gdy już kształty jego utraciły pierwotne swoje cechy i przechodziły powoli w nowe, z których miał się wyrodzić styl ostrołukowy.

Tymczasem Krzyżacy na dobre usadowili się nad Bałtykiem i zaczęli w Malborgu i innych miastach swoich wznosić wspaniałe budowle z cegły, nadając im owe piękne kształty ostrołuków, które już wszędzie w północnej Europie zapanowały. Architektura ta wkrótce się w Polsce przyjęła i w XIII wieku zaczęły się pojawiać w miastach naszych kościoły, które zwano *Iwonowskiemi*, od fundatora ich biskupa Iwona. W kościołach tych coraz wyraźniej występowały wyniosłe, śpiczaste ostrołuki. Nietylko domy boże, ale i świeckie gmachy budowano w tym stylu, który w Niemczech nadbałtyckich i w Polsce przybrał pewne odrębne cechy. Brakło tu pięknych marmurów, zresztą wykwintne rzeźby i ozdoby nie mogłyby się długo utrzymać w klimacie ostrym, przy ciągłych deszczach i śniegach. Najpowszechniej używanym materiałem budowlanym była cegła, którą na ścianach zewnętrznych polewą tylko pokrywano. Warowne mury i baszty Krakowa z daleka świeciły czerwoną swą barwą. Ten odcień ostrołukowej architektury, którego zabytki przechowały się nad Bałtykiem i wzdłuż brzegów Wisły, nosi nazwę krzyżackiego, lub właściwiej jeszcze wiślano-bałtyckiego ostrołuku.

Na nieszczęście wojny, pożary, niszczyły często okazałe gmachy krakowskie, i późniejsi architekci, odnawiając je, nie zachowywali dawnych kształtów, lecz zwykle według nowych wzorów przerabiali uszkodzone budowle. Do najpiękniejszych a najlepiej

zachowanych zabytków architektury ostrołukowej w Polsce zaliczyć można kościół Maryacki w Krakowie, katedrę na Wawelu, która jednak znacznym uległa zmianom w czasach, gdy wchodził w użycie styl odrodzenia, potem kilka innych starych kościołów, a z gmachów świeckich wszechnicę jagiellońską. W Gdańsku, Toruniu, Wislicy, Płocku, Lublinie i wielu innych miastach, są także starożytne kościoły ostrołukowe. W Warszawie, jak obaczmy niżej, górę wzięło budownictwo z epoki odrodzenia.

(d. n.)

Medalik z roku 1768.

POWIEŚĆ

przez **Z. MORAWSKĄ.**

(Dalszy ciąg).

V.

Przeszłość Grzegorza.

Wszedłszy do swego pokoju, p. Lesiński podsunął krzesło kalece i rzekł:

— Siadajcie, Grzegorzu,—jesteście wzruszeni i drżący, spocznijcie troszkę, a potem zaczniecie swoje opowiadanie.

Grzegorz wzbraniał się usiąść, na powtórne jednakże żądanie p. Lesińskiego i p. Roblickiej, oraz naleganie dziewczątek, siadł nareszcie, a tuż przy nim Magdusia. Ludwinia zaś podała mu sporą lampkę wina, mówiąc:

— Wypijcie, Grzegorzu, to was orzeźwi i wzmocni. Widzicie, zawsze wam mówiłam, że i dla was znajdzie się jeszcze jaka pociecha, nieprawdaż, jestem dobrą wróżką?

— O tak, pannoczko, wyście zawsze mnie pocieszali, ale z kąd ja mógł wiedzieć, że spadnie na mnie starego sierotek tyle pociechy. — To mówiąc spojrzął na Magdusią, która znowu pochyliła się do jego kolan i rzekła:

— Ojciez mój, ja dla was będę prawdziwą pociechą, będę się starała osłodzić waszę

starość, szczęśliwa, że Bóg mi was wrócił; ale ojciez, opowiedzcie wy mi co o mojej matce, czy ona żyje?

— Zapewne nie żyje, moja serdeczna dziewczeczko, bo nikt w wiosce o niej nie wie, gdzie się podziała. Ja i matka twoja mieszkaliśmy we wsi Gołoczkach na Pobereżu. Mieliśmy chatę i kawał gruntu, a cała wieś była zamieszкана przez włościan, uwolnionych od pańszczyzny i osadzonych w tej darowanej im wsi przez marszałka S. za to, że poszli z nim na wojaczkę w 1768 r. Dużo z tych co poszło, nie wróciło więcej, rodziny ich dostały grunt i chatę. Ojciec mój powrócił w parę lat po tej ruchawicy, osiadł na darowanym mu przez pana gruncie, ożenił się, dzielnie gospodarował i dorobił się nawet grosza. Wydał za żonę i wyposażył najstarszą córkę, trzem moim braciom dał po kawale gruntu, i tym sposobem chudoba się rozdrobiła. Sam zaś zostawił sobie chatę i resztę ziemi, a ja jako wyrostek pracowałem u rodziców. Ojciec zawsze wspominał dawne czasy, swoją wojaczkę, pokazywał ten oto medalik, co dostał na pamiątkę owej wojaczki, że i mnie wzięła ochota spróbować wojennego rzemiosła. To też mimo płaczu matki, w dwudziestym roku, kiedy nasi ciągnęli za Napoleonem, poszedłem i ja na wojaczkę, uściskałszy matkę i ojca staruszkę.

Służyłem w różnych pułkach, i tak polubiłem to swoje rzemiosło, że tylko mi oczy grały, a serce skakało z radości, ile razy o wojnie wspomiano; życież to było, życie! ale co o tém i gadać...

Ow Napoleon wodził nas Bóg wie po jakich krajach i narodach, wiedząc to państwo dobrze, jakie to były bitwy i jakie były nasze losy. W końcu pod Lipskiem r. 1813 zostałem ranny w bok, myślałem, że się nie wyliżę, jednak Bóg łaskaw utrzymał mnie przy życiu, ale byłem schorzały, do wojaczki niezdatny, tak mi ta pruska kulka dobrze dojadła. Powlokłem się więc w swoje strony, bo i tęskno mi było zobaczyć ojca, matkę i braci. Doszedłem więc do Gołoczki, o kiju i proszonym chlebie. Ale tu mi okrutnie smutno się zrobiło. Ojcowie moi spoczywali już na mogiłkach, a na gruncie go-

spodarowały dzieci najstarszego brata, który także już pomarł. Po długich korowodach oddali mi część chudoby przypadającej na mnie. Miałem już wtedy lat dwadzieścia kilka, trzeba było obejrzeć się po młodych i poszukać żony, bo w chłopskiej chacie bez kobiety obejść się nie można. A też jak raz, u sąsiada była krasawica, którą zostawiłem jeszcze dzieciakiem. Nie zważyłem, że sąsiad był biedny i nie mógł dać wiana za dziewczką, posłałem swaty i w zapusty odprawiliśmy z moją Magdą wesele.

Było to w 1815 r.; na świecie po wojennych burzach zaczęło się uspakajać, i każdy jak mógł pracował i dorabiał się kawalka chleba. To też i ja, choć mi wciąż pachniała wojaczka, orałem spokojnie zagon. Pan Bóg błogosławił, w chacie było troje dzieci, kobieta wspólnie ze mną pracowała i pilnowała dobytku, i tak przeżyliśmy kawał czasu. Ale jednego roku we wsi grasowały jakieś krosty między dziećmi. Nasz najstarszy miał 11 lat, a najmłodszy rok. Naraz jak Bóg zesłał nieszczęście, wszystko troje w jednym tygodniu pomarło. Zostaliśmy oboje z żoną sierotami. Kobieta zawodziła i płakała, ja, jak każdy bezrozumny, szukałem pociechy, nie w poddaniu się woli Najwyższego i pracy, ale w nieszczęsnej gorzałce. Gospodarstwo upadło i niszczało, a chociaż kobieta błagała i prosiła, ja zfukawszy ją nieraz, wynosiłem wszystko z chaty do a-rendarza, który mi za to téj nieszczęsnej trucizny dolewał. A w tym czasie zawrzała znów wojna. Odżyły we mnie wszystkie wspomnienia, nagle oprzytomniałem i czekałem, ażeby pójść z innymi. Trafił się jeszcze jeden i drugi koleżka, zaczął namawiać, nic mnie już wtenczas powstrzymać w domu nie mogło. A właśnie pan Bóg znów pobłogosławił i dał córkę. Ale i to mnie nie powstrzymało, pożegnałem płaczącą kobietę, zawiesiłem na szyi trzydniowej mojej dziecinie ten oto medalik i poszedłem w świat, ale odmłodziły i rażny, bo mi wojenka pachniała. Było się tu i owdzie, chociaż krótkie są dzieje téj ostatniej mojej wojaczki. Pod Ostrołęką płatnięty w głowę straciłem oko, a kula nogę mi urwała.

Ranny, długo leżałem w szpitalu. Gdy

wstałem, dawno już się wojna skończyła; od czasu do czasu spotykałem takich samych jak ja kalekich, ciągnących w rozmaite strony kraju. Bez grosza, o kuli i żebranym chlebie, już po raz drugi zdążyłem do swoich. Z tą tylko różnicą, że kiedy po raz pierwszy przebywałem tę drogę, byłem młody i świat cały mi się uśmiechał; a teraz co uszedłem mil kilka, to i ległem na miesiący kilka. Aż w jednym dworze tak ległem, iż przez pół roku wstać nie mogłem i myślałem, że już mi przyjdzie głowę tutaj położyć. Pan i panienki same się mną zajmowały i dawały rozmaite leki, a nawet po parę razy sprowadzały do mnie doktora i cyrulika. Niech im tam Bóg sowicie za to wynagrodzi, ale ponieważ była to jesień, państwo nie pozwolili mi odejść, aż na drugi rok w Maju, i jeszcze zaopatrzyli na drogę.

Ależ to już był szósty rok mego tułactwa, im bliżej byłem swojego gniazda, tém smutniejsze ogarniały mnie przecucia. Tak się jakoś zdarzało, że nikogo ze znajomych nie spotykałem, chociaż już byłem blisko Gołoczki. Nareszcie doszedłem. Było to właśnie podczas sianokosów i ludzie z pola schodzili z wesołym śpiewem i brzękiem kos, znać jakiegos chłopaka wyzwalali na mójca *).

Pochwaliłem Boga przechodząc, odpowiedziano mi po chrześcijańsku, ale nikt mnie nie powitał jak znajomego. Serce mi się jeszcze bardziej ścisnęło, nie śmiałem się pytać o swoich, przyspieszyłem tylko kroku i stanąłem w progu chaty. Na pozór nic się nie zmieniło, drzwi były otwarte, na kominię ogień płonął, kobieta młoda uwijała się około garnków, dziecko na czworakach pełzało po świetlicy, ale to nie moja kobieta i nie moje dziecko. Ciemno mi się w oczach zrobiło, oparłem się o drzwi wchodząc, a pozdrowiwszy ich, zapytałem:

— Czy ja się omylił, czy nie trafił do chaty Grzegorza Gołucha?

*) W wielu bardzo stronach naszego kraju jest zwyczaj, że gdy po raz pierwszy młody parobczak idzie z kosą do roboty, powracając wieczorem, uwiecznzonego wiedzie cała drużyna ze śpiewem i brzękiem kos. Uroczystość kończy się oblanie wódką, wystawioną przez uwiecznzonego.

— Znać jesteście nie tutejsi — odrzekła kobieta — bo Grzegorz Gołuch już temu bardzo dawno jak poszedł w świat, i o nim ani słychu.

— Tak — odrzeknę — ale w chacie został żonę i córkę, cóż się z niemi stało?

Kobieta spojrzała na mnie ciekawie.

— Także wy i tego nie wiecie? A taże to będzie dwa lata żona jego sprzedawała cały dobytek, chatę nam wypuściła dzierżawą, a sama poszła w świat szukać męża, o którym dowiedziała się, że leży ranny w szpitalu w Warszawie.

— Kobieto, na miłość Chrystusa ukrzyżowanego — krzyknąłem — powiedz mi, czy nie wiesz nic więcej o ich losie? gdzie są teraz?

I to mówiąc osunąłem się, i sam nie wiem, co się ze mną dalej stało. Gdy przyszedłem do przytomności, leżałem przed chatą na przyzbie, gromada ludzi zebrała się nademną, ten i ów zlewał mi wodą, kobiety zawodziły i biadały swoim zwyczajem, gwaru było co nie miara. Nareszcie przyszedłem do siebie i usiadłem, a zaraz też przystąpił do mnie jeden ze starszych gospodarzy i rzekł:

— Witajcie nam, Grzegorzu, my tu już za waszą duszę i modlitwy odprawiali i mówiliśmy, że na tym świecie się chyba nie zobaczymy; a wy oto wracacie. No taże i chwala Bogu.

Serdeczne powitanie oprzytomniło mnie. Ten i ów podawał rękę i ścisnął po bratersku, poznawałem w nich to swoich rówieśników, to też mołojców których dziećmi zostawiłem, chciano mię zaraz zaciągnąć do arendarza, ażeby z nimi wypić i jak mówili pokrzepić się.

Gwar był i pytania, a ja nie mogłem przyjść do słowa, ażeby się prawdy dowiedzieć, co się stało z moją kobietą i dzieckiem. Ale kiedy im powiedziałem, że wódki wcale teraz nie pijam, bo się wyprysnąłem i do karczmy nie pójdę, powoli zaczęli się rozchodzić, a mnie trzęsącego się zaprowadzili do chaty; poszedł za mną dawny mój znajomy, Matys Hałuba, ojciec tego, co chatę od mojej kobiety dzierżawił. Ten mi dopiero powtórzył toż samo, o czym

wspomniała jego synowa, że kobieta moja, dowiedziawszy się od jakiegoś przechodzącego żołnierza, iż jestem ranny i leżę w szpitalu, sprzedała część chudoby, chatę i grunt wydzierżawiła, a zabrawszy dziecinę poszła w świat i od tego czasu nikt nie wie, co się z nią stało, i oto już dwa lata jak wyszła, a oni zapłaciwszy jej za rok dzierżawę, nie wiedzieli komu ją za drugi opłacić. Mimo usiłowań od nikogo nic więcej dowiedzieć się nie mogłem.

Dwóch moich starszych braci umarło, synowie ich nie wiele troszczyli się o stryja, którego prawie nie znali. Tak więc, ujrzałem się sam, kaleka, bez rodziny. Wszystko mi w Gołoczce nie smakowało, bo każdy kąt budził wspomnienia lepszej przeszłości, której szanować nie umiałem.

Sprzedawszy więc za byle co chatę i pomodliwszy się na mogiłach, poszedłem w świat, sądząc, iż może gdzie odszukam moją zgubę. Szedłem do Warszawy, bo mi powiedziano, że tam poszła moja kobieta, aby mnie odszukać. Po drodze wszędzie o nią pytałem, lecz wszystko napróżno. W Warszawie niejedyn, któremu pytał, patrzył na mnie jak na pozbawionego zmysłów, że chcę szukać kobiety i dziecka w takim dużym mieście, nie wiedząc na pewno, czy one tu przyszły. Tułałem się od domu do domu, a widząc, że nic od nikogo dowiedzieć się nie mogę, a małeńki zasób, jaki miałem ze sprzedaży mojej chaty wyczerpywał się powoli, postanowiłem gdzie osiąść i pracować na kawałek chleba, aby swój nędzny żywot dokończyć. O kuli i z jednym okiem trudno mi było cośkolwiek zapracować. Wyszedłem z Warszawy, ażeby gdzie przy jakim kościele posługiwać i resztę dni poświęcić Bogu, modląc się za duszę tych, których opłakiwałem, i żałując za swoje grzechy. Opatrzność, która zawsze się opiekuje nieszczęśliwymi, dała mi spotkanie panoczka na popasie, i oto wdając się ze mną w gawędę, przygarnęliście do siebie i polecili ks. proboszczowi, a teraz przygarnęliście córkę moją. Oj panoczku, panoczku, czy to aby prawda, że ta panienska to moje dziecko? Czy to nie czary jakie. Bożeż mnie nie karz, odbierając radość jakiej doznaję!

-- Dobry Grzegorzu — rzecze p. Lesiń-

ski -- uspokóście się. Straciliście dziecię ma-
lutkie, którego wychowanie trudne byłoby
dla was, dziś znajdujecie je dorosłe, a wy-
chowane poczciwie i pracowicie, powinniście
więc tylko dziękować za to Bogu i serdecznie
radować się z tego.

— Tak panoczku, ale ja tak się boję, aże-
by ta córka moja, ta panienska wypieszczo-
na, nie zawstydziała się prostaka, i nie opu-
ściła ojca, jak on ją niegdyś opuścił.

(d. c. n.)

MĘCZENNICZY,

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Paulinę Krakowową.

(Dalszy ciąg).

Miejsce to przypomniało się żywo Bruno-
nowi, gruby pień lipowy otaczały umyślnie
tu sadzone jarzęby, bzy i wysmukłe kaliny,
tworząc ozdobny wieniec dokoła, niżej je-
szcze, lubo już przekwitłe, rozesały fiołki
okrągłe swoje liście i konwalie, choć nie
chwiały już białemi dzwonekami, zostawiły
jasno zielone pęki wachlarzy, ścieląc je nie-
jako pod stopy poważnej matrony lipy. Znal
on to wszystko, nieraz chodził tu za Sa-
muelem, gdy go matka w cichy, pogodny
wieczór prowadziła na modlitwę dziekiezyna-
ną, bo miejsce to uświęconem było wspo-
mnieniem ważnego w tej rodzinie wypadku.

Kiedy Samuel był jeszcze jedynakiem i
rodzice, uważając tę późno przybyłą dzieci-
nę za skarb nieoceniony, nad własne szaco-
wany życie, zdarzyło się, że zaszedłszy w tę
stronę lasu ze sługą, mającym obowiązek
pilnowania go, żwawy chłopczyną, rwąc zio-
ła, goniąc motyle, zauważył ślicznego pta-
szka, którego pragnął schwycić—rozumie się,
napróżno; to go jednak nie zrażało; wcześniej
miał silną wolę i lubił na swoim postawić;
ptaszek schronił się pod liście lipy, Samuelek
bez namysłu wdrapał się na niższe gałęzie,
a pomimo wołania swego dozorca piął się

wyżej a wyżej, w miarę jak ptaszek przeska-
kiwał z gałęzi na gałąź. Przerażony sługa
widząc, że wołania jego i prośby nie sku-
tkują, puścił się w pogoń za paniczem tą sa-
mą drogą, którą tenże się wdzierał; już wy-
ciągał rękę, by swawolnika uchwycić za
odzienie, gdy gałąź, po której chłopak stał
pał bezkarnie, skruszyła się pod ciężką sto-
pą służebnika i obadwa spadli na ziemię, a
raczej na wystające z niej korzenie odwie-
cznego drzewa.

Pani Magdalena, podążająca zdaleka za
synkiem, nadeszła właśnie pod lipę w chwi-
li, gdy stłuczony mocno sługa począł do
przytomności wracać, leżące bez życia dzie-
cię i ułamana gałąź objaśniły przerażoną ma-
tkę, jaka była nieszczęścia przyczyna. Nie-
wiasty przybyłe z panią nie wiedziały, czém
się wprzód zająć, ratowaniem dziecka, czy
trzeźwieniem matki omdlewającej w rozpa-
czy; rozumie się, że wszelkie środki znane
wówczas zostały użyte przez obecnych, wy-
prawiono do zamku po lekarza, znoszono
przeróżne zioła, skrapiano dziecinę wodą
zdrojową, odmawiano głośno i serdecznie
modlitwy i po długich godzinach oczekiwa-
nia, gdy już gotowano się martwego jedy-
naka nieść do domu, co teraz miał się po-
kryć żałobą, dziecię otworzyło oczy i nad
wszelkie oczekiwanie, wypadek cały prze-
szedł bez śladu.

Oddano chłopca nadzorowi lekarza, ma-
tka czuwała nad nim dniem i nocą, ojciec
przypatrywał się bacznie jego ruchom i po-
staci, w obawie, czy który członek nie zo-
stał w upadku uszkodzonym. czy przyszyły
dziedzic Góry chromym lub przełamany
nie zostanie; po niejakiem czasie jednak
wszelkie obawy i przewidzenia minęły. W ser-
cu matki pozostała pamięć zdarzenia i głę-
boka wdzięczność ku Bogu za odebraną w tej
okoliczności łaskę, uczucie zaś to na miejscu
wypadku ujawniła w ten sposób, że w korze
lipy kazała wyciosać krzyż, pień jej otoczy-
ła najozdobniejszymi krzewy, jakie naówczas
znano i często bardzo przychodziła tu skła-
dać dziekiezynne modły, prowadząc z sobą
syna, a później i młodsze dzieci, nazywając
miejsce to ogrójcem, czyli ogrodem, a lipie
dając cudownej miano.

Brunon zbliżył się do drzewa i nie bez zdziwienia ujrzał pamiętny sobie krzyż, odświeżony niedawnym kory nacięciem, ukląkł podług dawnego zwyczaju i gorącą modlitwą polecił się Bogu, który mu w to miejsce tyle kiedyś miłe powrócić znowu pozwolił, a w serce mu żywsza wstąpiła nadzieja, że teraz i swoich uda mu się odszukać. Dobrze mu było w świeżej, zielonej, lekkim powiewem poruszanej uchronie, dumął sobie o minionych zdarzeniach, oddechem chwytając woń lipy i cierpki zapach dębowych liści, a uchem łowił rozmaite, chociaż lekkie szmery, ożywające puszcę. Zdawało mu się, że w pewnym oddaleniu słyszał wyraźniejsze jakieś ruchy, podszedł ku nim i rozpoznał, że ktoś łupie lub struże gałęzie, bo nie był to odgłos rąbania; zbliżył się jeszcze, za uchem pobiegło i oko w zarośla, a tam, w szarej siermiedze, z lekkim toporkiem w dłoni, nad stosem dębowych kołów, stał zaciosując je pochylony staruszek, tak do znanego Brunonowi postaci podobny, że nie myśląc wiele, młodzieniec poskoczył kilka kroków, spojrzawszy w schylone ku ziemi oblicze i rzucił się do drżącej, pomarszczonej ręki, trzymającej siekierkę, z głośnym serdecznym wykrzykiem:

— Dziadulol

On to był rzeczywiście, lata nie wiele go zmieniły, żył, jak żyją w lesie odwieczne dęby i jesiony; po których nie znać wieku, aż dopóki pień, silny na pozór, nie skruszeje wewnątrz do szczytu, a wtedy, pomimo zieloną jeszcze wiechę na czole, za silniejszym wiatru podmuchem pada krzepki na oko olbrzym i ziemię, którą strzegł i chłodził, szczątkami swemi zaścieła.

Przywitanie było gorące, dziad i wnuk zasypywali się nawzajem pytaniami, Brunon czuł, że z jego życia, a osobliwie z jego myśli, dziadulo nie wiele zrozumie, więc mu się nie wywnętrzał do głębi, a i tego, co widział i słyszał, dość było, by zadowolnić staruszkę. Ten zaś opowiadał wszystko, co zaszło przed jego oczyma, o tatarskim napaździe, o ustanowieniu w Górze starostwa dla obrony kraju w tej stronie, nie przeciw temu co minęło, ale przeciw Jaćwieży, którą znowu podobno podburzał mazowiecki stryj



Sala w zamku Malborku. (Styl wiślano-baltycki).

królewski, przeciw rozbojom, mnożącym się a mającym gniazda swoje w opustoszałych ziemiach i tak na słuchaniu a opowiadaniu płynął czas szybko, aż starzec spostrzegł się nareszcie.

— Dość gadania!—zawołał — dokończymy nocą; a teraz do roboty, bo i tak dużo zmitrężyłem z tobą, chłopaku.

— Jakąż tu robotę macie, dziadulu?—zapytał wnuk.

— Widzisz oto, teraz na zamku wszyscy zajęci, próżnych rąk niema, tydzień temu zawołała mnie matka starosty, dobra, pobożna pani, pamiętasz, co nikomu dobrego słowa nie żałuje i powiedziała:

— Słuchaj, Grzela! gotują się wielkie łowy w naszych lasach, będą naganki, oblawy, by grubego zwierza napędzić w wiadome knieje, a potem go puszczać gdzie trzeba, to już rzecz leśników i pana starosty, nasze lasy są duże, niech się sobie bawią. Ale nie chciałabym, żeby mi mój ogródzec ztratowali po drodze; pójdźże tam zawczasu, dopomnij się o drzewo, jakiego ci trzeba i między dębami tak mi ogródz lipę, żebym ją potem całą znalazła, jak tam pójść zechcę na modlitwę.

— Już się z tem dość długo biedzę — mówił dziadek — bo sam sobie dębczaki ciąć musiałem, ale teraz to już wnet będzie gotowe, a o łowach jeszcze nie słyhać.

— Pomogę wam, dziadulu, kiedy swoim gadaniem tyle czasu wam zabrałem — rzekł Brunon. Spocznijcie, ja będę koły zacinał, a wy mi tymczasem powiedzcie co o Rozalce.

— Rozalka teraz prawie pani, moje dziecko; poszła za wrotnego z zamku i dobrze im się wiedzie. Czasem mi tu sama posiłek przynosi, czasem przysyła, bo mi na noc daleko wracać i mam tu szalną do spoczynku, widzisz?

— To połóżcież się i odetchnijcie trochę, już ja nie popróżnuję. I widząc, jak dziadulo wsparł się na ręce w szczupłej uchronie, a poglądając na rączną pracę wnuka, począł przymykać strudzone powieki, Brunon pracował ochoczo, rad, że na pierwszym zaraz kroku może wyręczyć ukochanego starca.

Przez jakiś czas tylko uderzenia jego toporka budziły leśne odgłosy, lecz wśród zajęcia, zdaleka, z wielkiej gdzicś dali, poczęły go jakies dochodzić szmery, później głosy, nakoniec coraz donośniejszy zgiełk i wrzawa, na których podstawie odbijały się to gwarne, to pojedyncze krzyki i nawoływania; słuchał Brunon ciekawie, uważając, że ten ruch zmieniał się, to po prawej, to po lewej stronie, pracował jednak i za każdą przerwą odgłosów, mniemając, że już się wszystko skończyło, zwracał radosne spojrzenie w stronę łagodnie drzemiącego dziadka i rad był, że go ten hałas nie zbudził.

Na jeden raz naprost siebie usłyszał gwałtowne krzyki, głos licznych kroków, tentent połączony z hukami i trzaskami gałęzi, jak gdyby ogromny jakiś ciężar, puszczonej straszną siłą pomiędzy drzewa, łamał je i druzgotał, jak zajrzeć, bujały się gwałtownie liście, niby podczas ulewnego deszczu lub burzy, a szum i szelest wzrastał z każdą chwilą; Brunon wypuścił wzrok przed siebie i pomiędzy drzewami dojrzał pędzącego jak strzałę, bez względu na upadające przed nim gałęzie, ogromnego daniela z rozsochaczami jak krzaki rogami, pod kopytami jego dudniała ziemia jakby po niej stado koni puszczono, a z oczu czarnych, wysmukłych, zdało się, że tysiące iskier tryskało.

Biegł prosto w stronę, gdzie między dębami stał cichy szalasiak śpiącego dziadula, rozpędzony, wystraszony krzykami i wołaniem ludzi, co poruszywszy to pyszne zwierzę z legowiska, nie byli w stanie doścignąć go, ani biegiem jego pokierować. Jednym spojrzeniem ogarnął Bruno niebezpieczeństwo i bez namysłu, z kołem dębowym w dłoni poskoczył naprzeciw królewskiemu zwierzęciu, w nadziei, że je spłoszy i choć cokolwiek z obranej drogi zwróci. Jakoż cel został osiągnięty, jeleni wpadł na zastępującego mu drogę młodziana, całą siłą trzymającego ostry kół, jedyną jego broń stanowiący, nie mogąc się wstrzymać w rozpędzie postąpił jeszcze kilka kroków, biorąc młodzieńca pod siebie i jak piorunem rażeni obadwaj padli nieżywi, daniel z pierśią przebitą kołem, na który wpadł własnym rozpę-

dem, Bruno przytłoczony przez zwierzę i ogłuszony gwałtownym upadkiem.

Teraz nadbiegli doganiacze, wyszedł i dziadek z szałas, obudzony zgiełkiem, po ogólnem zadziwieniu rozpoczęły się narzekania leśników nad zwierzęciem, a staruszka nad wnukiem, daniel był martwym zupełnie, napróżno go dzwiganio i przewracano, nie tyle może rana, ile gwałtowne przerwanie szalonego biegu śmierć mu zadało; Bruno uwolniony z pod ciężaru swęj ofiary, poczynął oddychać i stroskany staruszek krzątał się, by go do przytomności przywrócić.

— Co mu tam już po tem,—mówili łowcy—lepiej go już może nie budzić.

Oburzył się na to dziadek.

— Czyliż nie wiecie, co go czeka?—objaśniali go leśnicy; za zabicie grubego zwierza śmierć. Chyba że szlachcic?

— Kmieciem jest, ale przecięż to przypadek..

— Jakbądź, z jego ręki zginął, przeczyć nie można. A jeszcze taki przepyszny daniel, przeznaczony na królewskie łowy i przez samego starostę oddawna upatrzony!

— O, mój Boże!—wołał dziadek łamiąc ręce—toćże przecię sprawiedliwość i miłosierdzie mieć będą nad taką młodą krwią!—szeptał dziadek, cucąc zemłonego jeszcze wnuka.

— O miłosierdziu niewiadomo, a sprawiedliwość, wiadomo, podług prawa, szubienic!

Zakłopotani ludzie przemysłali, coby uczynić dalej, po namyśle, z dębeczaków nagotowanych przez staruszkę sporządzili obszerne nosze, złożyli na nich daniela, przy nim mimowolnego jego zabójcę, który jeszcze z wstrząśnienia i potłuczenia nie przyszedł do siebie i zabrali obu do zamku, rozmawiając po drodze, jak strasznym będzie gniew starosty, surowego pod względem praw łowieckich i lękając się sami pierwszego z nim spotkania.

Dziadek szedł za nimi.

Nie doszła do nas forma ówczesnych sądów na grodowych starostwach, rzeczą jednakże jest pewną, że dopiero Zygmunt August w 1554 roku 18 Marca srogość praw łowieckich złagodził, wyrażając: iż „niechce

aby wilk lub jelen większą miał wartość niż człowiek“. W czasie zatem, o którym w tém opowiadaniu wspominamy, prawa te były w całej pierwotnej ścisłości wykonywane. Sprawa Brunona wniesioną została na sąd, nim jeszcze powstał z choroby spowodowanej spotkaniem w lesie i ogłoszono mu wyrok śmierci wprzód, nim do sił powrócił o tyle, by zdołał wstąpić na rusztowanie.

Chory potłuczony, niezdolny i nie mający myśli uciekać, zdany został na odpowiedzialność wrotnego, i o ile się to ze zwyczajami więzienia pogodzić dało, doznając życzliwych starań siostry i dziadka, zamiast ciemnicy, w której jako skazany powinien był zostawać, osadzonym był w kątku nad bramą, gdzie i światła miał dosyć i otwarty widok na rozległą okolicę.

Starosty w zamku nie było; dziadulo i Rozalka podeszli do pani Magdaleny, opowiadając jej całe wydarzenie i ujęli dobre jej serce o tyle, że lubo nie mieszkała się zazwyczaj do żadnych spraw męża ani syna, na ten raz odroczyła wykonanie wyroku na Brunonie aż do powrotu starosty.

Z początku przygnębiony nieszczęsnym zwrotem zaszłym w jego losie, widząc za całą przyszłość śmierć w kwiecie wieku, młodzieniec pochylił smutnie czoło, zubożał na wszystko, co mu jeszcze przeżyć zostawało i nie miał odwagi żalić się na swoje przeznaczenie. Z czasem jednakże, z powrotem sił fizycznych, ocknęły się i moralne jego władze; miał wiarę szczerą i głęboką, czuł i wiedział, że czyn, który mu za zbrodnię poczytano, winą nie był, nie czuł zatem wyrzutów sumienia, z pokorą ale coraz pogodniej zaczął się na przyszłość swoją zapatrywać i godzić się z udziałem, jaki mu naznaczyła Opatrzność. Tyle lat przepędziwszy w klasztorze, umiał się modlić, i większą część chwil swoich na to poświęcał, gotując się do wielkiego przejścia, które go niezadługo czekało, lecz młodej duszy oprócz modlitwy, potrzeba było pracy; poprosił więc, by mu odnaleziono torebkę, z którą tak ochoczo wracał do domu, wy dobył z niej szacowne swoje przybory i wziął się do ulubionego zajęcia; począł pisać, ry-

sować i zapomniał o smutném swoim położeniu.

Z początku tylko rodzina Brunona podziwiała jego dzieła, ale na zamku, różnymi ludźmi osiedlonym, rzecz się taka nie ukryje, po trosze wszyscy dowiedzieli się, czém to się zatrudnia skazany więzien, sądowi panowie kazali sobie jego pisma pokazać i uznali, że Bruno był wielkim kopistą, co na ówczas tak rzadką było umiejętnością, że posiadający ją, nawet zbrodzeń, miewał sobie darowaną winę, byle resztę życia szacownej tej pracy poświęcił.

Starosta nie wracał, podobno za jakimiś ważnemi sprawami wysłany, powołał był do siebie uczonego ojca Kleofasa i opiekę nad młodą małżonką zdawszy troskliwym rodzinom, przestał na czas jakiś myśleć o domu i starostwie swoim. Urzędnicy, sprawiający sądy na grodzie, wysłali wprawdzie do niego wiadomość o wszystkim co zaszło, lecz nie było żadnej odpowiedzi, więc wszystkie sprawy zostały w zawieszeniu, a między innymi i Brunona.

On tymczasem nie próżnował; często sąd dawał mu polecenie przepisania jakiego dokumentu, starsza i młoda pani pragnęły do nabożnej książki mieć jaką modlitewkę, więzien spełniał każde życzenie chętnie i gorliwie, zaco łagodziło się coraz jego położenie; pozwalano mu chodzić po dziedzińcu otoczonym murami, modlić się u progu zamkowej kaplicy i widywać ile chciał dziadka, coraz już słabszego i coraz piękniejszych swoich siostrzeńców. Główném jego zajęciem stała się jednak wracająca coraz silniej chęć wykonania dawno powziętego zamiaru, odtworzenia Bolesławowskiego rękopisu, który zawsze przed wzrokiem jego duszy stał, jako niedościgniona piękność i doskonałość, jako skarb ziemi jego wydarty, który on tylko mógł jej, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w części powrócić. Do tego więc celu zwrócił wszystkie swoje siły, przekonał się najprzód, zbierając zapiski swoje, że tekst „Opisu życia Ś-go Wojciecha“ pamięć jego zatrzymała jak najwierniej, że je słowo w słowo i głoska w głoskę dokładnie odpiśać zdoła i wszelkimi siłami zabrał się do dzieła.

Miał czas po temu, starosty przez dwa lata nie widziano na zamku, Bruno tymczasem dochodził lat trzydziestu, wisiał nad nim wprawdzie wyrok śmierci, ale przywykł on już do tego stanu i nie troszczył się nim bynajmniej, widząc, że praca jego postępuje widocznie i wszelkim jego życzeniom odpowiada, jedno już tylko mając pragnienie, choć wiedział, że na zawsze zostanie niespełnioném, a mianowicie przekonać się, czy rozdział, który już wykończył, w czém się różni od wielkiego oryginału.

Zaczął się rok trzeci od przygody z danielēm; dziadulo pożegnał świat ten, błogosławiąc swoje wnuki, Rozalka wraz z mężem, który inne otrzymał pomieszczenie, musiała opuścić Górecki zamek, więzień został samotnym, częścić smętnym wspomnieniom oddanym, ale nie nieszczęśliwym, bo miał przed sobą cel, który go pochłaniał zupełnie i odrywał od ziemi i spraw jćj wszelkich.

Nakoniec przyszły wiadomości od dworu. Pan Samuel wzywał małżonkę, by z orszakiem dworzan i krewnych przybyła do Krakowa, bo on tam jeszcze długo zostać musi, przesyłał natomiastnikowi swojemu rozporządzenia różne, a do sądowych urzędników nakazywał:

— Kiedy tam macie takiego dobrego kopystę, niechże wszystko co potrzeba przepiśe, a potēm odesłać go do Sandomierza, bo tak obiecałem Ojcom Dominikanom, którzy takiego pilno potrzebują.

Taką była przeszłość Bruna w chwili, kiedyśmy go poznali wracającego z młodym chłopakiem do klasztoru z wieczornęj przechadzki.

Od dziesięciu już lat przebywał on w sędomirskim klasztorze, poprzepisywał ojcom potrzebne Kanony, Mszały i Psalterze, radzi mu byli, a nawet lubili go Dominikanie za łagodność, umiejętność i pracowitość, z jaką spełniał ich życzenia, lecz przepisywacz całą swoją sztukę, wszystkie starania łożył na oddzielną pracę; na tworzenie i zdobienie ukochanego swojego dzieła. Czasu wolnego, pergaminu i wszelkich materyałów miał tu Bruno dostatek, sporządziwszy zatēm za świeższćj pamięci rękopis, ozdobił go i upiększał nieustannie, dni całe na to poświęcał,

praca ta była jedyném szczęściem jego i sam nie wiedział, czy mocnićj pragnął by ukończoną została, czy lękał się, że mu życie opustoszeje, gdy jćj zabraknie.

— Ale wtedy—mówił sobie— wyproszę pozwolenie zostania tu zakonnikiem i będę Boga chwalił, a na zbawienie duszy mojęj pracował. Teraz nie mógłbym, choćby wolno było, całēm sercem przykuty jestem do rękopisu.

Oprócz Bruna, była w klasztorze jeszcze jedna dusza przywiązana gorąco do jego pracy, pomagająca mu serdecznie, i dzieląca jego zachwyty; był to młody chłopak, którego z upoważnienia ojców przybrał sobie przepisywacz. Prosty pastuszek wkrótce rozniłował się w księgach, a choć nie miał ani nauki, ani dokładnego o nićj pojęcia, podziwiał i uwielbiał wszystko, co wyszło z pod ręki Brunona, a osobliwie jego samego dziecięcą ukochał miłością, o tēm tylko marząc, jakby w myśl jego trafić i dogodzić mu lub w ciężkim smutku rozweselić.

Klasztor w Sandomierzu nie był wspaniałym, dawał jednak dostateczne schronienie Ojcom Dominikanom, którzy się tu byli z Koprzywnicy przenieśli, widząc, że w mieście i jego okolicy obszerne było pole do ich apostolskiego i miłosiernego powołania.

Sandomierz od wielu lat był świadkiem klęsk rozlicznych, leżąc niejako na szlaku sąsiadom nieżyczliwym, bywał przydróżną bramą, przez którą zapędzali się w głąb kraju i pierwszy, lubo często bezskutecznie stawał opór. Niszczyli miasto często Rusini, a osobliwie pod dowództwem Romana, księcia halickiego, od którego dopiero Leszek Biały, pokonawszy miasto i kraj oswobodził. Cierpiało także od wojen domowych, które prowadzili z sobą, dobijając się o opiekę nad małoletnim Bolesławem, znanym później pod imieniem Wstydliwego, Konrad, książę mazowiecki i Henryk Brodaty wrocławski, wzywając sobie do pomocy to Prusaków, to Litwę, to dziką Jaćwież. Najsroźszą jednak klęskę poniosło w 1241 roku, kiedy mongolscy Tatarzy pod wodzą Batego, czyli Batushana, przeszedszy z nad Wołgi przez Bulgaryę, i Ruś całą w liczbie blisko półmilioną, wpadli na Polskę i Węgry, pustosząc

ogniem i mieczem wszystko, gdzie tylko noga ich stąpiła.

Napróżno polskie rycerstwo wystąpiło przeciw nim, prowadzone przez kasztelanów i wojewodów Włodzimierza i Klimunta, a Pakosława i Jakóba Ranborowicza sandomierskich, zwyciężeni, a raczej zgnieceni mnóstwem, powiększyli tylko liczbę ofiar dzielni obrońcy, jak ją powiększył na Szlązku Henryk pobożny, zastępując z swemi hufcami barbarzyńcom drogę pod Lipnicą.

Po takiej nawale, kraj cały, a szczególniej Sandomierz, potrzebował wielce pomocy różnego rodzaju; zacni zakonnicy udzielali jej pod wszelką postacią, pocieszając pozostałych, pielęgnując rannych i chorych, zasilając nędzarzy tém, co pobożność okolicy dostarczała im samym na utrzymanie, a nakoniec garnąc do siebie dzieci i ucząc je a prowadząc, by młode pokolenie, opuszczone bez opieki, nie zmarniało w nędzy i rozpacz.

Przeorem Dominikanów w owe lata był poważny, łagodny, dziwniej bogobożności mąż, Sadoch imieniem. Od młodości żył on w regule S-go Dominika i żarliwie pełnił naznaczone mu obowiązki nawracania pogan i nauczania nieumiejętnych, dzieląc w tém trudy Jacka i Czesława Odrowążów, przewodników swoich w zakonie. Do prac takich gorące miał on powołanie, lecz z polecenia przełożonych swoich, zamiast biedz raz jeszcze do Jaćwieży i Litwy, pozostał w Sandomierzu, pocieszając się tém, że i tu wiele dobrego było do zrobienia dla pognębionej i zrozpaczonej ludności.

Cichego i bardzo poważnego ułożenia, kochanym był serdecznie, nie tylko przez mieszkańców, którym nieustannie świadczył dobrodziejstwa, lecz i przez zakonników, których prowadził w duchowném życiu, zachęcając do największej doskonałości, pilnując pomiędzy nimi ściśle prawdy i bojaźni bożej, i własnym przykładem do surowego życia zachęcając. Czterdziestu dziewięciu braci było w sandomierskim klasztorze, wszyscy ożywieni jednym duchem i jak ojca miłujący swojego przeora; oprócz przepisanych modłów i dzieł chrześcijańskiego miłosierdzia, wszyscy po kolei spełniali wszelkie

prace domowe, nie składając ich na świeckie osoby, z których mało bardzo było w klasztorze, bo tylko stróż, furtyan, przepisywacz i jego pomocnik.

Brunon przebywał zwykle w obszernej celi, przytykającej do refektarza, którą zwano biblioteką, ponieważ zwyczaj chciał, by w klasztorze nazwa taka istniała, nie należy przecież mniemać, że to był, jak obecnie bywa, liczny zbiór ksiąg ciekawych, lub nawet, jak w bawarskiem opactwie, poukładane na policach szacowne zwoje rękopisów. W ubogim sandomierskim klasztorze, oprócz mszałów złożonych na ołtarzach w kościele, oprócz martyrologii, leżącej na pulpicie w chórze, w bibliotece było tylko kilka odpisów rzymskich kanonów, czyli ustaw niewzruszonych, podług których odprawiane były wszelkie religijne obrzędy, na środku, ku oknu zwrócony, stał duży stół, na nim przedmioty do pisania potrzebne, a przy stole szeroka ława zbita w kształcie skrzyni z przednim bokiem odkrytym tak dla dogodności siedzącego, jak dla składania w nią, co pod ręką nie było potrzebne.

Na téj ławie nieraz przysiadł przechodzący Dominikanin, przypatrując się zajęciu przepisywacza, a osobliwie upiększającym pismo rysunkom, lub słuchając opowiadań jego o dziwnej cierpliwości Benedyktynów, na końcu jej zaczepiał się prawie zawsze Józwik, nie spuszczać oczu z Brunona, jak on sam kiedyś zatapiał swój wzrok w pracę zakonników nad Tegernem. Nie śmiał pragnąć, by się kiedyś mógł oddać podobnej pracy, lecz szczęśliwy, gdy mu Brunon ustęp jaki przeczytał, lub objaśnił obrazek, zasłuchany i zapatrzony w cudowne kartki, tonął w nich całą duszą i z czcią i miłością na nie poglądał.

(d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Kronika Rodzinna otrzymała od zakonnicy klasztoru Franciszkanek w Chęcinach list, z którego ustęp wydrukowała, prosząc inne Pisma o powtórzenie go w nadziei, że w ten

sposób treść dojdzie do wiadomości osób miłosiernych. Nie wątpimy, że i pomiędzy naszymi czytelnikami znajdą się tacy, którzy zechcą się przyłożyć do dobrego uczynku.

Zanosimy prośbę, piszą siostry, za pewną biedną panienką, która od lat dziesięciu czworgu młodszego rodzeństwa zastępuje matkę. Pozostawszy bez żadnych funduszków i opieki w bardzo młodym wieku, żyje ona jedynie z pracy rąk własnych, zajmując się krawieczyzną. Wiadomo wszakże, jak praca ta jest mozolną przy braku maszyny do szycia, na której kupno nasza biedna robotnica zdobyć się nie może, gdy często na suchy kawałek chleba jej nie dostaje, a wydatków z latami przybywa, bo obecnie opłacać już musi szkołę za najmłodszego brata. Błagamy przeto o zebranie funduszu na tę maszynę dla niej, przez miłość bliźniego i o przyjęcie w ten sposób w pomoc tej cichej i cierpiącej pracownicy, za co tym, którzy ją wspomogą, Bóg wynagrodzi swym błogosławieństwem i pociechą, jakiej zwykle udziela sercom dobroczynnym.

Kuryer Poranny podał w tych dniach wiadomość, którą wy zwłaszcza, młodzi czytelnicy, powinniście wziąć do serca, jako piękny i rzadki przykład zamiłowania do nauki. Posłuchajcie: Wawrzyniec Styk, syn włościanina z Grójeckiego, przybył przed dwoma laty do Warszawy w chęci, jak sam mówił, nauki. Kilkunastoletni chłopiec umiał czytać i pisać niezgorzej, nauczył się tego w szkółce elementarnej na wsi. Przybywszy do Warszawy z kilku złotychkami w kieszeni, musiał przedewszystkiém pomyśleć o jakim takim zarobku, aby wyżyć i przyodziać się jakkolwiek. Został więc roznosicielem jednego z pism codziennych. Odnosząc dziennik dwom studentom uniwersytetu, mieszkającym gdzieś pod okopami. Styk postanowił sobie, że musi koniecznie zostać kiedyś studentem uniwersytetu. Dowiedział się jednak, że potrzeba mu było przedtém ukończyć gimnazyum, a tu oprócz czytania i pisania biedak nic nie umiał i nawet do pierwszej klasy nie mógłby zdać egzaminu. Studenci, którym nosił dziennik, zajęli się

żadnym nauki chłopakiem i zaczęli go przygotowywać do egzaminu gimnazyalnego. Styk w godzinach wieczornych, po roznieśieniu dziennika, przychodził do studentów i tu do późna w nocy uczył się pod kierunkiem szlachetnych swoich nauczycieli.

Po latach dwóch takiej gorliwej nauki, Wawrzyniec Styk zdał egzamin do klasy IV jednego z gimnazyów klasycznych warszawskich. Na nieszczęście zabrakło tam dla niego miejsca, musiał więc poraz drugi zdać egzamin do szkoły prywatnej p. Szmurły i tu nakoniec został zapisany w poczet uczniów klasy IV. Ale przy nauce potrzeba żyć, kupić książki i opłacić wpis. To też Styk wstąpiwszy do szkół, nie przestał być roznosicielem. Do godziny 10-tej wieczorem roznosił dziennik, a następnie w izbie szewca przy ulicy Browarnej uczył się do późna w noc. Wpis za pierwszy kwartał opłacili za ucznia roznosiciela ludzie dobroczynni, rodzice jednego z jego kolegów bezpłatnie mu dają obiad. Ale pensya za roznoszenie nie mogło wystarczyć na potrzeby codzienne, a samo zajęcie zabierało biedakowi wiele czasu i przeszkadzało w przygotowaniu się do lekcyj.

Nieprawdaz, młodzi czytelnicy, że opowiadanie to wygląda zupełnie na powiastkę zmyśloną dla nauki i przykładu leniwych dzieci? A jednak dzienniki podały nazwisko i adres tego dzielnego chłopaka, i dziś płyną już dla niego składki. Wawrzyniec Styk wykształci się zapewne na człowieka pożytecznego i wtenczas zwróci innemu ubogiemu chłopcu, żądnemu nauki, ten dług, który dziś zaciąga u ludzi dobroczynnych.

Łamigłównka kryształowa. (J. W.)

- 1) Litera.
- 2) Część dzieła.
- 3) Imię męzkie.
- 4)
- 5) Imię wielkiego prawodawcy.
- 6) Zwierzę.
- 7) Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą imię założyciela wielkiego państwa.

Łamigłówka liczbowa. (J. W.)

Z dziewięciu liter imię świętego patrona polskiego. Przystawiając litery otrzymamy:

- 7, 3, 9, 8. Sprzęt popospolity.
 9, 3, 7. Środek obrony.
 9, 5, 6, 7, 8. Rzeka w Polsce.
 9, 3, 2, 8. Rzecz przydatna w zimie.
 7, 8, 4. Rodzaj gruntu
 1, 3, 4. Rzeka w Polsce.
 1, 7, 8, 9, 3. Przedmiot pożądanego dla [wielu].
 7, 8, 2, 3. Bywa tylko na dziurze.
 4, 5, 9, 3. Nazwa pisma peryodycznego.
 1, 2, 3, 4. Część sukni.

Rozwiązania do Nru 46.

Zadania głoskowe:

Już słońeczko powstało
 I przegląda się w rzece.
 Oj na rosę, na białą,
 Polecę ją, polecę!

1-sza strofa wiersza pod tytułem: Wiochna T. Lenartowicza.

Tajemniczój głoski.

Głoska M. Malina — Mowa — Manna —
 Marka — Dom — Maj — Mnie — Śmiejesz —
 Móre — Mława.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni P. w Włoczewie. Historia wysłałiśmy potwórnje pod tymże samym adresem pana K. w Płocku, może już teraz dojdzie szczęśliwie. Nieakuratność poczty często podobne figle nam płata, staramy się jednak, aby prenumeratorzy na tén nie cierpieli i zawsze wysyłamy drugie egzemplarze zaginionych Nrów Pisma i Historji. Życzenia kochanej korespondentki, tyczące się powiększenia objętości Wieczorów, będą spełnione w roku przyszłym, ale pomimo zapewnienia, że wszyscy chętnie zgodziliby się na podwojenie opłaty, nie myślimy jej wcale podwyższać. Wyszczególnienie wszystkich zmian, jakie zaprowadzamy w Pisemku naszym, będzie w następnym Nrze zamieszczone. Zmiany te będą znaczne i powiększą koszt wydawnictwa, liczymy jednak na to, że wzrastająca liczba prenumeratorów nam to wynagrodzi. Życzliwi czytelnicy, którzy pragną, aby ulubione ich Pisemko ule-

pszało się ciągle, podawało coraz więcej treści, coraz ładniejsze drzeworyty, powinni się o to starać, aby w kółku swoich znajomych zyskiwać dlań nowych prenumeratorów, gdyż wydawnictwa tak tanie tylko przy wielkiej liczbie prenumeraty utrzymać się mogą. Braciuszka serdecznie pozdrawiamy, zawiadamiając go, że w roku przyszłym będzie miał osobny dodatek dla siebie w Wieczorach Rodzinnych.

Kaziowi S. Komedyjka nowa rozpocznie się w następnym Nrze Pisma. Wszakże w roku bieżącym podaliśmy już cztery komedyjki, w których występują i chłopcy i dziewczynki, a ostatnia niedawno się skończyła. Nie zapomniamy także o grach, mamy w pogotowiu rozmaite, i spokojnie i hałaśliwe, prosimy tylko o cierpliwość, a wkrótce rozpoczniemy cały szereg, nie tylko gier towarzyskich, ale różnych sposobów urządzania zabawek nie wielkim kosztem w domu.

Bronisi D. w K. Rozwiązanie zagadki historycznej nadeszło już za późno, ale wkrótce inna podobna zagadka z nagrodą będzie podana.

Pani L. w Zytomierzu. Historją powszechną, naszym nakładem wydaną, można dostać także i w księgarniach. Drugi tomik niezadługo wyjdzie z pod prasy, będzie zawierał dokończenie starożytnej historji Wschodu. Dalsze tomiki w możliwie prędkim czasie będą drukowane. Nie możemy upewnić, czy pierwsze tomiki nie wyczerpią się przed wyjściem całego dzieła, gdyż nakład, niezbyt wielki, szybko się rozchodzi.

OGŁOSZENIE.

Dla prenumeratorów Wieczorów Rodzinnych są do nabycia w redakcyi następujące dzieła:

Album Willanowa, przepyszne wydanie, z opisem *Skimborowicza* i *Gersona* rs. 6 k. —.

Królowie Polscy, dla młodzieży w ozdobnej oprawie. Poczecet złożony z 43 portretów podług rysunku *T. Maleszewskiego* rs. 2 k. 50.

Wydawnictwa *Wł. Nowickiego*:

Szlachetna zabawa Ser. I. — k. 60.

„ „ Ser. II. — „ 65.

Początki języka . . . — „ 40.

Jak uczyć początków języka — „ 20.

Podwieczorki u Jadzi, przez *Jaskółkę* rs. 1 k. —.

Pogadanki naukowe, przez *M. J. Zaleską* . . . — „ 30.

Wakacje Janka i Zosi . . . — „ 75.

MODLITWA ZA RODZICÓW.

Słowa Felicyi P...r.

Muzyka Dominika St. Pawłowskiego.

Maestoso.

Kie - dy w po - ran - nej roz - my - ślań go - dzi - nie, Do Cie - bie Bo - że

mo - dły mo - je wzno - szyć, Nad in - ne tkli - więj jed - na w nie - bo pły - nie,

I dłu - żej, rzew - niej Cię pro - szę: Ze łą - za mi - ło - ści

wzno - sząc to bla - ga - nie, Ro - dzi - com mo - im po - blo - go - sław Pa - nie!

Trześć.—Owce, (z drzeworytem).—Przyjaciele, (bajka Adama Mickiewicza).—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem).—Medalik z roku 1768. Powieść przez Z. Morawską, (dalszy ciąg).—Męczennicy, opowiadanie historyczne, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Rozmaitości.—Łamigłównki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od redakcyi.—Śpiew.—Ogłoszenie.—W dodatku Pamiętnik wujaszka, (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2 1/2 *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27 1/2 w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr.

Biurow Redakcyi: Ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Ноября 1861 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.